Nr. 14. Lwów, 15. lipca 1902. Rok XXV.

ŁOWIEC

Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

1. Bartmański Józef.
2. Gödel Józef.
3. Berski Feliks.



Jeszcze słówko o cietrzewiach.

Smutny to objaw podeszłego wieku, że zamiłowania lat młodych tępieją, powszednieją, przestają nas zajmować i na uroku tracą. Twierdzą, że prawie każdy człowiek na starość do pewnego stopnia staje się dziwakiem, dlaczegożby i starego myśliwego to spotkać nie miało? Myśliwy który przebył w życiu wszelkie możliwe łowieckie koleje i rozkosze, który polował na wszelką prawie zwierzynę, jak to mówią: „od lwa do skowronka", nie dziw, że na starość przestaje być zachłannym na strzelanie do byle jakiego zwierza — przestaje on bowiem być łakomcem, a staje się smakoszem. I ja dziś u schyłku mojej myśliwskiej karjery tę prawdę jak najdotkliwiej odczuwam, zwłaszcza, że wyszedłem ze szkoły tak odmiennej od dzisiejszej. Młode lata spędziłem w pogoni konno z psami za grubym zwierzem — lub z wyżłem na bagnach, których jeszcze wówczas więcej było w naszym kraju, niż obecnie. Przeobrażenie wielkie przeszło u nas myśliwstwo od owych czasów; zwierzostan powiększył się w istocie do zadziwiających rozmiarów. O owych świetnych rezultatach, o tych istnych rzeziach drobnego zwierza, o których dzisiaj nieraz czytamy, nikt podówczas nie słyszał. Tam gdzie niegdyś ubijano przy psach kilka lub kilkanaście zajęcy — dziś ich się tam strzela na setki.

Sarna była niegdyś na Podolu zwierzem nieznanym, dziś od nich roją się tamtejsze lasy, jelenie w gó-

rach były rzadkością — a dzisiejsi myśliwi strzelają je tam już na rekord, jakby króliki w zwierzyńcach. Ze stanowiska ekonomicznego cieszy mnie ten objaw nadzwyczajnie, i pragnąłbym z całej duszy, by się ten stan rzeczy rozwijał i nadal w nieskończoność. Ale jako stary myśliwy, i z innej szkoły wyznaję w pokorze, iż teraźniejsze polowania, jako takie, uroku już we mnie nie budzą. Znicz łowiecki, który w piersi tlił za młodu, gore na starość — zapewne dlatego, iż się czuje, że te rozkosze już potrwają nie długo, więc chciałoby się drzeć łyka póki się daje. Myśliwstwo jest w istocie jedną z tych rzadkich namiętności, które się z latami potęgują — w miarę jak inne przyjemności życia ustają. Dlatego to i dziś jeszcze z zapałem gonię na wszelkie możliwe polowanie — jakiekolwiekby ono było — i wdzięczny jestem całem sercem temu, który mnie na nie łaskawie zawezwać raczy. Ale uważam to sobie zawsze tylko za najmilszą towarzyską rozrywkę — a nie za poważne łowy. Takowymi bowiem pozostały mi dotąd: gruby zwierz, zwłaszcza przy psach — potem kszyki i dubelty przed wyżłem — a nad tem wszystkiem króluje tok głuszca i cietrzewia. Nie jeden pomyśli o mnie, i może słusznie, że to dziwactwo — być może — ale staremu wybaczyć należy nawet jeżeli dziwaczy. Toki były zawsze moją ulubioną rozrywką, i przez lat wiele, co roku, na głuszcowych tokach spędzałem długie dnie wiosenne, koczując śród śniegów, w górskich kulebach przy ognisku. Dziś tego rodzaju rozkosze są już dla mnie oczywiście nie przystępne, ale mniej uciążliwe, cietrzewiowe toki jeszcze mi pozostały — i dotąd jeszcze — każdy wiosenny poranek nie spędzony na toku, za stracony sobie liczę. Przez lat bardzo wiele, bo więcej niż przez ćwierć wieku, badam z najwyższem zajęciem co wiosny, w rozmaitych okolicach kraju, te ciekawe igrzyska roznamiętnionych kogutów, i na każdym toku spisywałem najakuratniej moje uwagi i spostrzeżenia. Te moje zapiski oddałem ś. p. Spauście, który zamierzał właśnie spisać monografię cietrzewia. — Śród tego — przed ukończeniem pracy, śmierć nieubłagana jego nam zabrała i moje notatki przepadły, a sądzę, że w nich znalazłby się niejeden ciekawy materyał dla lubowników tego polowania. Pobieżnie więc już tylko pragnąłbym się z łaskawym czytelnikiem podzielić niektóremi uwagami, i niektóre dać wskazówki. Cietrzew jest, w mojem przekonaniu, ptakiem nieobliczalnym, a jak wszystkie niemal kuraki, skłonnym do dalekich wędrówek — i nikt nie zbada powodów dla których czasem, ulubioną swą siedzibę opuszcza — i to często na zawsze — a znów pojawia się nagle w okolicy, w której go nigdy nie było. Miałem tego dowód najlepszy n. p. na sławnych borach koło Doliny, na których przez wiele lat polowałem. Jest to miejscowość idealna; wszystko się tam znajduje, czego tylko cietrzewiowa dusza zapragnąć może. A przecież: raz zastawałem tam po przeszło 100 grających kogutów — w rok później, o tej samej porze, w tych samych warunkach klimatycznych, naliczyłem ich zaledwo 8 sztuk. Teraz słyszałem, że się już z tamtych stron, niestety, zupełnie wyniosły. Podobny przykład nam dają i Lisowickie knieje; w niektórych latach cietrzewie tam w wielkiej przebywają ilości, w innych zaś, prawie zupełnie ich nie ma. Topograficzne położenie kniei, klimatyczne warunki, przyrost drzewostanów, lub wyrębywanie lasów, niezaprzeczenie ważnymi tu są czynnikami. Zauważyłem oraz rzecz dziwną, że na Podgórzu, gdzie klimat przecież ostrzejszy i późniejsza wiosna, cietrzewie często wcześniej swoją grę rozpoczynają, niż na ciepłych, piaszczystych równinach; słyszałem tam już nieraz z początkiem marca dobrze odzywające się koguty. Ulubionem ich miejscem na tokowiska są obszerne łąki śród lasów, a czasem i mniejsze halawy — ale znam miejscowości, gdzie cietrzewie, niewiedzieć dla jakich powodów, wyłącznie tokują na drzewach; jak n. p.: w niektórych rewirach w Brodczyźnie, gdzie budki stawiać trzeba przy znanych sosnach, na których zawsze zapadają, choć im tam nie brak łąk po lasach. To samo, jak słyszałem, dzieje się w niektórych rewirach Buska i Radziechowa, ale o tem nie miałem sposobności osobiście się przekonać. W Kłodnie na małych łączkach leśnych tokuje dość kogutów, ale zawsze pojedyńczo, nigdy dwóch nawet na tej samej łące nie widziałem. W Choroszowie, gdzie słynne toki, grają koguty przeważnie na wyspie otoczonej bagnem, dokąd na wiosnę przystęp niemożliwy. Znane tokowiska w Derewni i Karowie są także na obszernych łąkach.

Posiadam bardzo ładne tokowiska w Dmytrowie w powiecie kamioneckim, ale dopiero od lat 8, bo przedtem cietrzew był tam rzadkością. Tam to najciekawsze udało mi uzbierać spostrzeżenia i wzbogacić moje zapiski, bo co wiosny spędzając tam w lasach, najmniej po 10 dni, mam sposobność zbadać dokładnie obyczaje i kaprysy tych ciekawych ptaków. Zapisując od lat tylu godzinę i minutę odezwania się pierwszego koguta w rozmaitych okolicach, uwzględniając temperaturę, pogodę i słotę — tu porównawcze czynić mogę zestawienia, a wyniki tego bardzo są ciekawe. Do niezbitego przyszedłem przekonania, wbrew twierdzeniu wielu myśliwych, że toki są ustalone wtedy dopiero, gdy kury zasiędą na gniazdach. Wtedy dopiero jest matematyczny pewnik, że ten sam kogut, jutro o tej samej porze, na tem samem miejscu tokować będzie, gdzie dziś tokował — a choćby i chybnym strzałem został spłoszony — to jutro powróci z pewnością. Przeciwnie — pokąd się jeszcze kury kręcą po tokowiskach i swych narzeczonych bałamucą, to ci czarni rycerze, choć o nich mówią, że się zacietrzewiają, tak są czujni i nerwowi, że spłoszeni, bardzo często opuszczają swe tokowiska i inne sobie wyszukują. Stąd to powstaje nieraz to błędne mniemanie, że tok już skończony, gdy on właściwie jeszcze nie rozpoczęty. Dlatego to sądzę, iż błądzą ci myśliwi, którzy się za wcześnie na toki wybierają, gdyż płoszą uganiające się jeszcze za kurami koguty, wypędzić je nawet mogą całkowicie ze swego rewiru, a pozbawiają się przyjemności strzelania ich bez szkody na ustalonym już toku, gdy już zapłodnione cieciorki na gniazdach zasiędą. Tegoroczne, naprzykład, moje spostrzeżenia mogą za dowód służyć. Nigdy do Dmytrowa nie jadę przed początkiem maja, bo nigdy przedtem toki tam nie są ustalone — chociaż koguty przez cały kwiecień grają. Przybyłem 3 maja śród okropnej aury; deszcz ze śniegiem, wiatr, zimno, czas istnie marcowy. Z przerażeniem dowiedziałem się od mojej leśnej straży, że na znanych trzech tokowiskach koguty wcale nie zapadają — tylko jeszcze uganiają się za kurami po całej przestrzeni kilometrowej łąki. Istna rozpacz, a spodziewałem się przyjazdu dwóch łaskawych na mnie towarzyszów broni.

Przyjdzie mi się rumienić za moich ukochanych czarnych śpiewaków. Śród deszczu nocując w szałasie przy ognisku, ażeby być bliżej tokowisk, trzy pierwsze poranki spędziłem w budkach badając położenie. Gajowi mieli słuszność, bo roje kogutów uganiały po olbrzymich łąkach, ciągnących się gdzieś aż pod nieboskłon; a trzy tylko grały przy mej budce dnia pierwszego — ale zaalarmowane przez przelatujące gdakające cieciorki, już przed wschodem słońca odleciały. Drugiego dnia już było lepiej; 7 kogutów już grało przy budce, reszta gdzieś się jeszcze daleko wałęsała. W dniu trzecim naliczyłem ich już 19 na dobry strzał od mojej budki. Rozkoszowałem się ich widokiem, z binoklami przy oczach, z ołówkiem i książką, z notatkami w ręku zamiast strzelby oczywiście — w oczekiwaniu moich obiecanych gości. Niestety! przybyć nie mogli, przeszkodzeni jakiemiś politycznemi czy gospodarskiemi sprawami. A jednak te platoniczne łowy, w budce, bez strzelby, są dla mnie niesłychaną rozkoszą. Kilka godzin co poranka bowiem nadarza mi się sposobność przypatrywania się tym walkom, tańcom i karuzelom, i bawię się lepiej niż na wszystkich baletach wiedeńskich, berlińskich i warszawskich, lub na sławnych walkach byków w Madrycie. Z pewnością pozbawione są, co prawda, wszelkiej logicznej podstawy, owe zacięte walki spóźnione tych zaciekłych rywali, teraz gdy już żaden nie potrzebuje lanc kruszyć o rękę swej bogdanki. W tym roku idąc za przykładem kilku znanych mi myśliwych, którzy cietrzewie na toku z powodzeniem wabili, i ja też raz z ciekawości spróbowałem zawabić — a lubo się poprzednio zacząłem kształcić w tym kunszcie, i w salonie mi się wydawało, że tę sztukę do wysokiego już doprowadziłem artyzmu, tak, iż mógłbym nawet zostać kapelmistrzem cietrzewiowej kapeli — w budce okazało się całkiem inaczej niż w salonie. Po pierwszem zawabieniu koguty widać zaraz po akcencie poznały, że nie jestem rodowitym cietrzewiem i zaraz dnia tego tokowisko bezpowrotnie opuściły. W późniejszych dopiero porankach na dobre się toki ustaliły — i na trzech rozmaitych tokowiskach mnóstwo odtąd miewałem kogutów, tak skoncentrowanych przy budkach, żeby je można było niemal wszystkie włokiem nakryć. W zestawieniu tegorocznych moich spostrzeżeń, do zebranych z dawnych lat zapisków, badając daty, przekonałem się o regularności przelotu, tak, iżby się wydawało, że każdy z tych ptaków chronometr przy sobie nosi. Różnice zaledwie kilka, a najwięcej kilkanaście minut wynoszą — tak, iż można oznaczyć przeciętną godzinę rozpoczynających się śpiewów na 3cią minut 10, a kończy się przed samą godziną 6tą, poczem ptaki do lasów odlatują, jeśli ich pierwej coś nie spłoszy. Nie będąc chciwym krwi moich ukochanych czarnych śpiewaków — z zasady u siebie nigdy więcej jak jednego na dzień nie strzelam koguta, a czynię to zwykle przed samą godziną 6tą, ażeby się jak najdłużej widokiem rozkoszować i spostrzeżenia zbierać. Pomimo strzału zwykle jednak koguty swego śpiewu nie przerywają, dopóki ich chronometry godziny odlotu nie zaznaczą. W sześciu porankach zabiłem tam więc sześć kogutów — a im później, tem toki były lepsze i coraz większa ilość kogutów przybywała. Po moim odjeździe doniesiono mi, iż nalepiej grały około 20. maja aż do czerwca.

Dzieląc się z łaskawym czytelnikiem temi pobieżnie nakreślonomi spostrzeżeniami, śmiem zanieść prośbę do wszystkich posiadaczy rewirów, w których cietrzewie przebywają, by odstrzeliwali ile chcą kogutów na toku, byle nie przedwcześnie, albo w jesieni przed nagonką — bo samców jest zawsze w tym rodzie za wiele w stosunku do samic — ale niech się nigdy nie dają skusić na polowanie z wyżłem na wypióry — bo wiem z doświadczenia, jak wiele na takich łowach ginie młodych kur, co już ustawa sama zabrania — i jaką wyrządza się przez to szkodę śród tego sympatycznego, uroczego, a choć często wędrującego, ale zawsze kraj nasz stale zamieszkującego ptactwa.

Podkamień, w lipcu.

Leopold hr. Starzeński.



W sprawie wniosku p. Żardeckiego.

Na posiedzeniu sejmowem z d. 25. czerwca motywował p. Żardecki swój znany wniosek, jak następuje:

„W wniosku przedłożonym na samym początku zaznaczyłem, że postanowienia obecnie obowiązującej ustawy łowieckiej z 5 marca 1897, wywołują wśród włościan niezadowolenie, a wyrazem tego niezadowolenia były petycye wniesione do Wysokiego Sejmu a także liczne skargi i żale podniesione na wiecach i zgromadzeniach ludowych.

Pozwolę sobie przypomnieć Wysokiemu Sejmowi, że w czasie właściwym, t. j. wówczas, gdy obecnie obowiązująca ustawa łowiecka była uchwalona, miałem zaszczyt — sam i inni posłowie stronnictw ludowych — stawiać w tej Wysokiej Izbie wnioski i poprawki przy poszczególnych paragrafach.

Zaznaczyć muszę, a z przykrością przychodzi mi przypomnieć, że nasze wnioski i poprawki tylko w bardzo skromnej mierze przez Wysoki Sejm zostały uwzględnione.

Projekt ten, który Wysokiemu Sejmowi przedkładam, obejmuje właśnie te wnioski i poprawki, które stawiałem.

One wprawdzie nie zmieniają zasadniczo samej ustawy, jednakowoż z uwagi na to, że wymagają zmiany wielkiej liczby paragrafów, dlatego Wysoki Sejm upraszam o uchwalenie nowej ustawy łowieckiej.

Jak już wspomniałem zasadniczo ustawa jest niezmieniona. Zmiany, które proponuję, pozwoli Wysoki Sejm pokrótce wyjaśnić.

Przedewszystkiem w paragrafie 3. proszę o zamieszczenie ustępu l. c. mianowicie chodzi o to, ażeby posiadaczowi ogrodów zamkniętych, do których można się dostać przez drzwi lub wrota, ażeby tym posiadaczom było przyznane prawo samodzielnego polowania, a to dlatego, że wedle paragrafu 59 obecnie obowiązującej ustawy, szkody wyrządzane w tego rodzaju ogro-

dach nie są wynagradzane i wogóle poszkodowany wynagrodzenia takiej szkody żądać nie może.

Ten właśnie ustęp, który proponuję w §. 3. już się mieścił w przedłożeniu rządowem z r. 1883 (?).

Rzecz ta nie jest nową i już przedłożenie rządowe uważało za właściwe, ażeby dać jakiś ekwiwalent, którego poszkodowany nie ma, jeżeli mu zwierzyna szkodę wyrządzi. Uważałem więc za słuszne, aby z tego przedłożenia ten ustęp w tym projekcie umieścić.

Dalszą zmianą zasadniczą byłoby poruczanie zwierzchności gminnej wydzierżawienia prawa polowania. To obejmuje §. 12. projektu. I to nie jest nowością. Rzecz ta była już poruszaną w Sejmie, mianowicie w przedłożeniu Wydziału krajowego z roku 1886.

Sądzę, że wobec tej okoliczności, iż nasze zwierzchności gminne mają w myśl obowiązujących ustaw ważne zadania do spełnienia w własnym, jak też w poruczonym zakresie działania, możemy zupełnie spokojnie powierzyć im również administraturę t. j. wydzierżawienie prawa polowania.

Paragraf 32. projektu różni się tem od obowiązującej ustawy, że radbym, aby jasno było powiedziane, jakie kwalifikacye ma mieć nadzorujący prawo polowania. Właśnie wskutek tego, że w obecnej ustawie rzecz ta nie jest jasno postawioną, daje się sposobność władzom administracyjnym do różnorodnej interpretacyi. Są bardzo często wypadki, że podanie dzierżawcy na wykonywanie prawa polowania nie zyskuje potwierdzenia, tylko odprawia się lakonicznie odpowiedzią, że nadzorujący nie ma kwalifikacyj.

Dalej radbym, aby w §§. 38. i 50. była zaznaczoną więcej i wydatniej możność tępienia szkodliwej zwierzyny i tu pragnąłbym, żeby rzeczywiście jasno było wypowiedziane w samej ustawie łowieckiej, czy zwierzęta, uznane za szkodliwe mają być faktycznie wytępione, czy też należy je ochronić.

Zaznaczyć muszę, że wydarzył mi się przykry wypadek, mianowicie przy przepisywaniu projektu opuszczono ustęp, który o tej rzeczy mówi. Będę rewindykował ustęp ten, skoro projekt ten przyjdzie pod obrady w drugiem czytaniu.

W paragrafie 50. prosiłem, ażeby tych przyrządów samochwytnych i łapek które w celu wytępienia szkodliwej zwierzyny obecnie mógł tylko stawiać dzierżawca prawa polowania, aby zarówno także używać mógł i właściciel gruntu.

A zarazem powinna być w ustawie tej dana możność ludności, ażeby ona faktycznie te zwierzęta szkodliwe była w stanie wytępić. Dziś procedura, która normuje wynagrodzenie za wyrządzone szkody jest bardzo zawiła i na to głównie ludność się żali, że do wynagrodzenia tego tylko z trudnością dojść i wyegzekwować je może. Chciałbym więc, ażeby i ta kwestya w ustawie, którą Wysoka Izba uchwali, była uproszczona i unormowana w ten sposób, iżby nie wzbudzać w ludności niezadowolenia. W szczególności podnoszę w tej mierze projekt, aby do tego powołani byli taksatorzy gminni.

Gdy wobec postanowień niektórych paragrafów taksatorzy ci mają być zaprzysiężeni, nie zachodzi obawa, aby w tej mierze mogły dziać się jakieś nadużycia.

(Głos: Jak weźmie guldena więcej nie będzie w tem wielka szkoda).

Zasadniczą kwestyą jest także kwestya zniesienia kart myśliwskich. Dowiedziałem się na zebraniach ludowych, że zaprowadzenie kart uniemożliwia przy licytacyach praw polowania, branie udziału w tychże licytacyach. (Głos: Bardzo słusznie, tak jest). Szkoda, jaką z tego kraj może odnieść jest nie wielka i nie stoi w żadnym stosunku do szkód poniesionych przez gminy z tego powodu. Dodam jeszcze kilka uwag pod adresem komisyi.

Mianowicie chodzi mi o to, że przy uchwalaniu ustawy obowiązującej, wielce szanowny Pan Referent, zasięgnął zdania Towarzystwa łowieckiego. Otóż prosiłbym obecnie nie zapomnieć także o zdaniu hodowców, (Głosy: Bardzo słusznie!) a jeśli będzie uwzględniona i ta opinia, ustawa nowa wyglądać będzie inaczej, aniżeli ustawa obecnie obowiązująca. Zdaje mi się też, że jest największy czas, aby Wysoka Izba ustawy krajowe, które w postanowieniach swoich bądźto są ciężarem i nienormalne nakładają ciężary na ludność, bądźto są krzydzące, naprawić raczyła.

Do tych ustaw krzywdzących zaliczam i zdaje mi się zupełnie słusznie i ustawę łowiecką. (Poseł ks. Stojałowski: To jest plaga!)“

Komisya administracyjna, której Sejm sprawę tę przydzielił przygotowała przez swego referenta, JE. Adama Jędrzejowicza następujące sprawozdanie:

„Zmiana ustawy obowiązującej musi być zawsze poprzedzona dokładnem zbadaniem, czy ustawa odpowiada celowi, dla którego wydaną została, jakie są tejże zalety i braki, a wskazane to jest w tym wypadku tembardziej, że ustawa łowiecka, o której mowa, z dnia 5. marca 1897 roku (Nr. 7. dz. u. k.), weszła w życie dopiero przed 5 laty w marcu 1898 roku. Zatem za krótki okres czasu, aby módz pobieżnie ocenić, czy zastąpienie istniejącej nową ustawą jest wskazane, czy też pewne braki, które podnoszone są, nie dałyby się usunąć nowelą do ustawy, lub czy nie należy jeszcze wyczekać dalszych na tem polu doświadczeń.

Nie da się zaprzeczyć i praktyka z innych krajów również to stwierdza, że ustawa łowiecka, którąby wszystkich zadowolniła, nie jest łatwa, bo to leży w naturze przedmiotu, ale dążyć należy przez dobrą ustawę, aby z jednej strony podnieść kulturę łowiecką w kraju, z drugiej strony nie naruszać prawa własności i chronić posiadacza gruntu przed szkodą lub nadużyciem.

Do tego celu dążyła ustawa uchwalona w roku 1897 i cały dział o odszkodowaniu i tępieniu szkodliwej zwierzyny, jako też przepisy o ochronie zwierzyny łownej są tego dowodem.

Kwestya odszkodowania odnośnie do szkód wyrządzonych przez zwierzynę łowną, która była przedmiotem rozlicznych wniosków została odpowiednio załatwiona, gdyż w tym kierunku narzekań nie ma i wniosek posła Żardeckiego nie proponuje co do tego działu zasadniczych zmian.

Natomiast nie ustają skargi na szkody wyrządzane w ziemiopłodach przez dziki, a Komisya administracyjna uznaje, że pod tym względem poprawa dziś obowiązujących przepisów jest potrzebna, bo szkody wyrządzane przez dziki są osobliwie w niektórych okolicach kraju bardzo dotkliwe.

Komisya administracyjna nie chce wchodzić w szczegółowy rozbiór wszystkich postanowień projektowanej ustawy, pozwala sobie jednak już dziś niektóre ważniejsze zmiany podnieść:

W §. 3. proponowane jest, aby prawo do samoistnego polowania przysługiwało każdemu posiadaczowi ogrodów albo parków znajdujących się przy domu mieszkalnym i ogrodzonych. W ten sposób wprowadzi się cały szereg nowych uprawnień do polowania i można śmiało powiedzieć, że w każdej wsi, ile jest domów mieszkalnych, tyle będzie samoistnych polowań. Postanowienie takie byłoby stanowczo dla kultury łowieckiej szkodliwe, dałoby szerokie pole do nadużyć i kłusownictwa, a z pewnością zniżyłoby wartość polowań gminnych.

W dziale o wydzierżawieniu polowań gminnych, przenosi wnioskodawca cały ciężar odnośnych czynności na zwierzchności gminne. Analogiczne postanowienie było w pierwotnym projekcie do ustawy przedłożonym Wysokiemu Sejmowi w roku 1895 przez Wydział krajowy.

Komisya administracyjna nie może bez dokładnego zbadania stwierdzić, czy gminy są w możności podołać temu zadaniu przy i tak wielkiem obciążeniu dziś we własnym i poruczonym zakresie działania.

Decydującą powinna być okoliczność, czy przez wydzierżawianie według projektu wnioskodawcy, czynsze za polowanie gminne podniosą się czy nie — przy tem nasuwa się uwaga, że w powiecie konkurencya przy licytacyi może być większa, niżby to miało miejsce w gminie.

Uchylenie obowiązku kart myśliwskich byłoby według zapatrywania komisyi szkodą dla funduszu krajowego, jak i dla kultury łowieckiej. Sejm poszedł pod tym względem za przykładem innych krajów a w każdym razie doświadczenie z kartami myśliwskiemi jest zbyt krótkie, aby dążyć do ich usunięcia.

Jeżeli w ogóle zmiany, co do okręgów polowania, co do ochrony zwierzyny łownej i policyi łowieckiej są wskazane, to dążyć powinny do podniesienie kultury łowieckiej.

Projektowane zaś postanowienia, jak: pozwolenie używania łapek i innych przyrządów samochwytnych (§. 50.), także właścicielowi gruntu, nie wymaganie od strażnika łowieckiego żadnej kwalifikacyi (§. 32.), usunięcie dziś obowiązującego postanowienia, że handlarz zwierzyną musi się wykazać świadectwem jej pochodzenia, uchylenie prawa danego władzy politycznej powiatowej do zamknięcia w danych wypadkach polowania na pewien przeciąg czasu i t. d., wywarłyby chyba skutek przeciwny.

Zmiana dziś obowiązującego przepisu co do zakazu polowania w niedziele i święta projektowana przez wnioskodawcę jest również życzeniem wielu sfer myśliwskich a komisya administracyjna sądzi, że w pewnych granicach tego zakazu byłaby dopuszczalną. Na podstawie tych przedstawionych uwag i ze względu, że komisya administracyjna nie jest w możności w tak krótkim czasie zbadać, czy istotnie zachodzi już dziś potrzeba zmiany ustawy łowieckiej i w jakim kierunku, wnosi:

Wysoki Sejm raczy uchwalić:

Projekt ustawy odsyła się Wydziałowi krajowemu do zbadania i w razie uznania potrzeby do przedłożenia nowego projektu ustawy łowieckiej lub noweli zmieniającej niektóre postanowienia dzisiejszej ustawy.

Tem samem załatwioną jest petycya Gal. Towarzystwa łowieckiego w tym samym przedmiocie do l. 1221“.

Przewodniczący: Jan Szeptycki, mp. Sprawozdawca A. Jędrzejowicz, mp.

Jak wiadomo sprawa ta, z powodu braku czasu, nie weszła na porządek dzienny obrad sejmowych.



W imię tradycyi, względnie niesprawiania przykrości ludowi.

Nie przebrzmiał jeszcze śmiały występ w obronie udokumentowanego zbrodniarza bociana, a tu, powie sobie szanowny czytelnik, wypływa zardzewiały, podszyty widocznie posłem Żardeckim konserwatysta w obronie psów! Bronić psa, niezrównanego niszczyciela użytecznej zwierzyny, — to występować ze szkodą nawet dla całego społeczeństwa, bo słusznie, zauważył szanowny korespondent w ostatnim Nr. „*Łowca*“ „wszak przez tępienie psów jedynie dobrodziejstwo wyrządza się całemu społeczeństwu“ Co najmniej o to obwini łaskawy czytelnik śmiesznego śmiałka z zebrania myśliwych w Borszczowie.

Mnie jednak korespondencya ta da sposobność wypowiedzieć słów kilka w obronie niewinnie zabijanych piesków, jak to i na zebraniu myśliwych w Borszczowie nie wahałem się wypowiedzieć.

Tak jest, nie każdy pies jest szkodliwym zwierzynie i w tym kierunku dzieje się u nas całkiem przeciwnie, bo dla jednego szkodnika przypłacają życiem dziesiątki ofiar niewinnych, a zabijaniem psów takich, daruje szanowny korespondent, nie „dobrodziejstwo“, ale krzywdę o pomstę wołającą, wyrządza się społeczeństwu.

Kto miał sposobność przekonać się, jak lud nasz lubi psa a nawet przywiązuje się doń, ten przyznać musi, że strata psa boli go bardzo.

Miałem dużo sposobności przekonać się do jakich rozdrażnień wśród ludu doprowadza bezwzględne tępienie psów, a czy nie byłoby na czasie, usuwać wszelkie niesnaski, nie dawać powodu do słusznych pretensyi, prowadzących aż do rozdrażnienia?

Zabijanie psów nietylko z bezwzględnością, ale z krzywdą praktykuje się u nas. A że każde zło ma swój wątek, szukać go należy w tem, że uprawniamy do zabijania psów ludzi nie zdających sobie sprawy w tym kierunku, a goniących czysto za zyskiem, za psi nos ofiarowanego „strzałowego“. Ten grosz! i ta rusznica! w strażnika ręku powoduje dużo złego. Tam pod lasem, nie wiedzieć w jakim celu znalazło się ścierwo, a przy niem pada wiele niewinnych piesków.

Tu znowu gromada psów „weselnych“ ściąga na siebie takiego „goniącego za zyskiem“ i druga ich część dostarcza „groszów strzałowych“, a dalej dostarczają pieski, niewinnych z siebie ofiar, we wsi lub też za wsią, naszczekując pogromcę swej krwi, rankiem, lub wieczorem wracającego ze wsi, z okazyi lub po interesie goniącego za strzałowem, z nieodstępną rusznicą.

Nie wszyscy wiemy o tem, lud jednak widzi to, narzeka, ba nawet ucieka się do sądów i szuka tam sprawiedliwości za niewinnie zabitego pieska.

Z praojców rodzony podolak, zżyłem się z tym ludem, znam połać tej ziemi, że tak powiem od końca do końca, znam ludu tego zwyczaje, znam obyczaje, znam dobrą i ujemną jego stronę.

Nie odchodząc od zamierzonego celu, odsłonię w dwóch kierunkach ludu tego słabą stronę, której tradycyjnie ulega i bądź co bądź, śmiało rzec mogę, nie jest do wyrugowania. Odziedziczył ją po ojcu, wszczepił i przekazał znowu pokoleniom, a to: czeladzią służebną nawet najbogatszemu gardzić się nie godzi i nie wolno, broń Boże! inaczej, tylko z jednej misy dzielić się z nią darem Bożym, następnie, psu nie należy robić krzywdy, jak czeladzi i nie powinno go brakować, przy obejściu, bo nie darzy się obejściu temu, gdzieby przez oszczędność kawałka chleba zabrakło dla pieska.

Czeladź służebna pracuje dla gospodarza, a pies nie daremnie dostaje resztki z obiadów i wieczerzy, które pozostać dla niego muszą. Poczciwe psisko strzeże całego jego dobytku, a chłop spuściwszy się na niego po całodziennej pracy najspokojniej idzie na spoczynek, cały swój dobytek zdaje na niego i czy to burek, łyska, sucia czy bosy, zna swoją służbę. Całą noc czujny i czy to człowiek w złych zamiarach do obejścia się zbliżył, czy bydło z zagrody się wyłamało, czy jaki wypadek między dobytkiem się przydarzył, nic nie ujdzie baczności pieska i z pewnością pana swego zawiadomi. Wie on czy w chałupie, stodole, szopie czy w stajni pana swego szukać i tak długo hałasuje naszczekując, dopóki go ze snu nie obudzi. Każdy gospodarz zna się z swoim psem, wie on kiedy Burek wzywa go do wstania, wie kiedy u sąsiada lub nawet dalej, jakie zajście go zaniepokoiło.

Dawnemi laty Podole miało swoją rasę psów, dziś wskutek pomieszania nowych nabytków rasa ta zwyrodniała, jednak zawsze nie zatarła się całkiem i odradza się. Są to pieski średniej wielkości, o nieco długim, dość sztywnym włosie, a charakterystycznemi są u nich do góry stojące, ostro ścięte uszka, podobnie jak u lisa. Psy te, o ile z doświadczenia powiedzieć mogę, są niezrównanych zalet, jakiemi żaden inny pies „stróż“ im nie wyrówna.

Zna tak nacechowane psy nasz chłopek podolski i rozbija się za nimi. Chętnie zapłaciłby za niego, byle go mógł od drugiego, który się pieskiem takim szczyci dostać, ale i nie odważy się kupna zaproponować, bo to znowu tradycyjne, psa za pieniądze ani żądać, ani oddawać się nie godzi. Pieska dostaje się za grzeczne słowo „Bóg zapłać“, albo też ze — „znajdy“. A skąd te „znajdy?“ Legenda utrwaliła wiarę w podolaku, że najlepsze psy bywają znalezione, jako uratowane od śmierci. To też, gdy suka obdarzy właściciela potomstwem, wybiera 2—4 najwięcej obiecujących i te zatrzymuje przy suce, reszta zaś nowo przybyłych ślepców idzie do wody na stracenie. Że są na obejściu pieski do darowania o tem się głośno nie mówi, tylko ot tak jakoś napomknie się, a najczęściej dziatwa zdradza tajemnicę, że u Hrycia są bardzo ładne psięta. Przy okazyi świąt odwiedza się właściciela psiąt pod innym pretekstem, a niby przypadkowo zobaczyło się pieski, więc prosi się o jednego. Zazwyczaj właściciel zbywa kompetenta, „a dobrze, dobrze, później, bo pieski jeszcze za małe, niech się odessą“. Swoją drogą, że radby już się ich pozbyć, bo psiaki już słuszne, ściągają matkę i szczekają razem z nią na każdego przybysza. Dopiero za dni kilka właściciel zabiera pieski i idzie z nimi gdzieś do wody, ale tak głębokiej, że i sztuką psaby nie utopił. Przez całą drogę grozi im wytopieniem aż do nogi, wreszcie zostawia je na brzegu, a nawet i w wodzie po kolana, na uboczu zostawia dziecko co to niby się bawi, a ciągłą uwagę ma na psięta, by im się co złego nie stało lub też kto inny, nie ten któremu obiecano ich nie zabrał. Sam idzie do kuma, swata lub sąsiada i pozdrowiwszy go, mówi o jakiejś sprawie lub interesie, a dopiero na odchodnem jakby od niechcenia dodaje „a powrzucałem psy do wody, jak wam potrzeba, to idźcie i weźcie sobie, jeżeli jeszcze który żyje“. Takim to sposobem podolak przychodzi do psa „znajdy“, uratowanego od niechybnej śmierci, z których najlepsze psy bywają i taki to pies chowa się dobrze, trzyma się domu, bo za domem śmierć go czekała.

Nie przypomnę powodu, czy kulawizną kobyły, czy samą ochotą pchnięty, mając jakąś sprawę do załatwienia, poszedłem piechotą do miasteczka. Gdy wracałem, dopędza mnie znajomy chłopek ze wsi sąsiedniej. Zatrzymał konie i „Sława Bogu“.

„Na wieki“ odpowiedziałem.

„A to pan piechtą, ta może do domu?“

„A tak“, odpowiedziałem.

„Ta może pan siądą“.

Przyjąłem propozycyę tembardziej, że droga do domu obok mojej chaty go prowadziła. W tylnem siedzeniu szerokiego wozu podolskiego siedziała żona Wasyla, Paraska, zająłem obok niej miejsce, Wasyl popędzał konięta, ja wszcząłem „rozhowor“ z Paraską na temat zakupionych garnków i bułek, które z garnków wyglądały, konie biegły rączo z górki, minęliśmy mostek i zakręt, gdy Wasyl zatrzymał konie, zawiesił lejce na „ruczyce“ wozu i złażąc szybko z wozu „ktoś pokienuł“ rzekłszy, szybkim krokiem puścił się gościńcem, wreszcie skierował się popod baryerę, dążąc w dół ku potoczkowi. Siedzieliśmy z Paraską Wasyla, będąc jednego mniemania, że jakąś zgubę na drodze zauważył. Ot jakieś szczęście, z nieukrytem zadowoleniem rzekła Paraska. Pewnie podkowa, zadecydowałem. Gdy jednak Wasyl stracił się z gościńca, straciliśmy i nadzieję „znaleźnego“, wreszcie wracał Wasyl z dołu, jakby z ziemi wyrastał, zdążał do wozu, niosąc w ręku psiątko. Ot szczęście, rzekła Paraska, ta niech i tak będzie.

„Ktoś porzucił, nie godzi się zostawiać“, rzekł Wasyl, kładąc psię Parańce na podołku. Psiątko to dostarczyło nam tematu do „rozhoworu“ na całą drogę.

„Z takich to piesków, mówił Wasyl, najlepsze psy bywają, a przyda się, bo smutno, przy chałupie nie mamy psa, odkąd przepraszając honor pana, ten „hołodryga“ zabił“.

„A kto, zapytałem, zabił wam psa“.

„A przepraszam honor pana, ten hołodryga Maćko, aj panie, to to mi krzywdę zrobił, bodajby jeszcze na kolanach cało chodził“.

Paraska tuląc psinę potakiwała klątwie i opowiadaniu Wasyla.

„To może pies wasz chodził do lasu i robił szkodę“, rzekłem. „A, gdzie tam, odparł przecząco Wasyl, niech Bóg broni. Zaraz dałbym konie i wóz, gdyby mi kto pokazał, że mój pies raz kiedy był w lesie, albo zające łapał. Ale ot co było. Przepraszając honor pana, poczuł pies wesele, taj poszedł, bo i kto może wtenczas psa utrzymać, a jak to zazwyczaj suka taka wybiera się za ogrody, a psy za nią, a oni wszyscy te „hołodrygi“, to tylko tego pilnują, tak gdzieś jak dyabeł nim posiał, nadszedł Maćko, wystrzelił raz i drugi, zabił sukę i mego psa“.

Tu już zabrakło Parasce cierpliwości, tylko potakiwała Wasylowi i rzekła: „Panie, czy to może tak być, ażeby psa ot tak prawie koło domu na własnym ogrodzie zabijać?“

Zainterpelowany, musiałem dać odpowiedź. Jak wiecie, pies powinien być przywiązany, bo inaczej idzie w pole, no a tam pozwala prawo psa zastrzelić, choćby nawet zająca nie gonił.

„Ależ to nie było w polu, zaprotestował Wasyl i Paraska. To było ot tak blisko domu za ogrodem“.

„Już ja temu nie dam wiary, prawi Paraska, ażeby psa na ogrodach zabijać wolno, ale to na durnego mego chłopa trafiło, ja mówiła, idź odbierz strzelbę i zbij tak, ażeby do domu nie dowlókł się, ale co to z moim durnym chłopem począć, niechby on tak innemu psa zabił, a temu psa ubił taj i nic mu za to“.

Wasyl wymachiwał batogiem, kiwał głową, wreszcie zarzuty baby tak odparł: „Idź, idź, durna babo, trzeba mi jeszcze było po sądach się włóczyć, taj po dzisiejszej prawdzie na świecie jeszcze i w kryminale siedzieć. Ty teraz mądra, ot jak każda baba, a jak jam ci mówił: bierz koromesło i idź bij, bo co babie ujdzie, to chłopu nie, jak „niepryczkiem“ tamtego roku profesora żona zbiła i to jakiegoś pana, taj i w sądzie nic jej za to, babie darmo i w sądzie ujdzie, a chłopa to prędzej skrzywdzą, toś czemu nie poszła? tak zabrałaś się do chałupy, jakby cię nie było, a teraz to umiesz gadać“.

„No, no, odfuknęła Paraska, jakby profesor był taki głupi jak ty, żeby mu psa zabił, taj on nic na to, widziałbyś, żeby go tak była zbiła, lepiej jak tego pana, ta, prawda, profesorowa obstała za mężem, bo on nie taki głupi jak ty, a ty od czego chłop, jakby ciebie nie było, to jabym sobie dała radę, byłby on tego nosa nie poniósł, prędzejby byli jego ponieśli“.

„Cicho, cicho, rzekł Wasyl, ot baba się rozgadała, ale niech się pan babie nie dziwuje, ot jak to każda baba, myśli że mądra gada taj gada, ale nic z tego, już się pies nie wróci. Prawda że jest za czem żałować, to pies był taka „czeladyna“ jakich trudno. A myśli pan, że to my już tak raz przegadali się z babą, ale ot baba, aby sobie ulżyć za to, taj wywołuje swarkę, a wszystko dlatego, że psa nie ma, taj już się i nie wróci, bo taki trudno już o dobrego psa. Tamten był jeszcze z tych starodawnych, ot taki sam bury jak to psiątko, tylko, że miał małe do góry stojące uszka, a wskazując na psiątko dodał, ten już nie będzie taki, już widać, że będzie miał inne uszy. To proszę pana żeby pan wiedzieli, nie ma psa ponad takiego, jak się trafi, co ma stojące uszy, taki pies to tylko, że mówić nie umie do człowieka. Bywało jak zapamiętam u nas nie było trudno o takiego psa, ale teraz to bardzo trudno, ot był mi się trafił, ale cóż, taj go zabił, bodaj zczezł. Ażebym tak do domu dojechał, że prawdę panu powiem, niechby mi był krowę zabił, byłby mi takiej krzywdy nie zrobił. Proszę pana ja odkąd tego psa nie ma, to i nocy nie mam. Anu przódy niechby był złodziej zaszedł, to żeby człowiek jak się nieraz trafi, po robocie spał jak zabity, to on musiał zbudzić, a niech się chudoba do ogrodu wyłamała ho, ho! burek zaraz zbudził, albo proszę pana nieraz, jak to w gospodarstwie bywa, czasem bydlę, gdzie nogę założy, gdzieś jedno drugie potrąci, taj gotów wypadek, bo człowiek narobił się w dzień, taj rad odpoczywa w nocy, a Burek nie spał i pilnował i zaraz człowieka zbudził. Albo ot niech moja baba powie, bywało jak się krowa rozchodzi z cielęciem, to Burek zaraz dał znać, a ja bywało tak znał, co on chce, że wstaję, taj zaraz babę budzę, wstawaj, rób pójło, bo Burek daje znać, musiała się krowa rozchodzić i taki prawda tak było“.

Rad byłem przerwać utyskiwania poczciwego Wasyla, a gdy tłumaczenia Maćka i inne perswazye nie skutkowały, robiłem nadzieję na znalezione psiątko.

„A jak je też nazwiecie?“ zapytałem.

„Ja proszę pana, odkąd ja Bogu dzięki gospodarzem, taj za ojca mego, taj jak ojciec przykazywał i za dziada, zawsze na naszem obejściu każdy pies Burek się nazywał, to i ten będzie Burek. Ale proszę pana, co to teraz zaszło na świecie takiego, że tak teraz panowie psów nie znoszą, bo to proszę pana, żeby panowie nie chcieli, toby się tak z krzywdą nie działo, a jak panowie płacą aż pięć szóstek za psa, to taki „oczajdusza“ tylko za tem chodzi, taj tego pilnuje, bo jak psów dużo zabije, to on zaraz najlepszy i ma za co pić“.

„Ale gdzież tam mój Wasylu, prawda że panowie każą psy strzelać, ale takie co łapią zające i robią szkodę, a gdyby kto wiedział, że taki gałgan strzela psy za obejściem a nie w lesie albo na polu dyabłaby on zjadł a nie strzałowe dostał“.

To prawda, odparł Wasyl, że dyabłaby on zjadł, gdyby on tylko tego psa zabijał, co łapie zające, ale nie dużo się jemu trafi takich psów. Takiego psa co chodzi od domu i łapie zające nikt nie żałuje, bo on już się domu nie trzyma i nic z niego. Prawda, że trafiają się takie psy, co szkodę robią, ale taki pies poza ogrody nie chodzi, bo on tam nic nie znajdzie, tylko goni światami do lasu, w pole, a takiego jak zabiją, to dobrze zrobią. Mają oni inne sposoby na to, zabijają psy we wsi, za wsią, na ogrodach, a niechno wesele psie się trafi, to taki „drabuka“ prędzej zwietrzy niż pies“.

„No, no, wtrąciła Paraska, której znowu tylko potakiwać za długo było, ja choć baba, ale tak powiem, niech pan darują, ale niechby on mnie przekonał, jak takie psie wesele się trafi, niechby puścił zająca między nie, czyby który za zającem pobiegł, a wtenczas niechby wszystkie wystrzelał. A niechby nawet i słoniną go wysmarował, a nawet przywiązał kawałek na niego, to jeszczeby żaden nie poszedł, dowodził Wasyl. Pan mówią, że to nie dlatego, że panowie teraz psów nie

lubią. Jak to dawniej było, gdzie psy były — we dworze, skąd psa dostać było — ze dworu, różne przeróżne były psy po dworach i do polowania i do zabawy, a teraz proszę mnie pokazać, gdzie pies jest we dworze, chyba jaki jeden, a daleko szukać, żeby były dwa, i to żeby nie stróż, toby psa pewno nie było“.

„Albo proszę pana dawno jak ja służyłem przy wojsku, bywało jak który leitnant miał psy, to my wszyscy wiedzieli, że to pan i dobry człowiek, a jak się trafił taki, co psa nie miał, to już my wszyscy go się strzegli i słusznie — trudno było z nim wytrzymać, nigdy dobrego słowa człowiekowi nie dał“. Ująłem tu tu tylko wątek z utyskiwań poczciwych Wasyla i Paraski a setkę innych miałbym na poparcie tego, jak wielką krzywdę czyni się ludowi zabijaniem psów niewinnych.

„Co wieś, to inna pieśń, inne zwyczaje, inne obyczaje“, tak mówi przysłowie, a znowu druga prawda, ramą przysłowia ujęta: „nie ma reguły bez wyjątku“.

Zawadziłem o dwa, u podolan tradycyjnie święcone zwyczaje, a mianowicie, że gospodarzowi choćby najmajętniejszemu nie wolno gardzić czeladzią najemną i z jednej misy, broń Boże, inaczej, dzielić się z nią darem Bożym, i w wysokim stopniu zamiłowanie do psa, którego nawet „czeladyną“ zowią i dla którego resztki obiadów pozostać i dostać się muszą, a jak podolak święcenia tych zwyczajów domaga się i jak przekroczenia przeciw temu ostro cechuje, posłużę się małym dowodem.

U pokucian ani pierwszy, ani drugi zabytek tradycyjny nie jest z taką skrupulatnością konserwowany. Tam już „gazda“ często nie darzy się z jednej misy z „najmytem“, a pies nie doznaje takiego starania, jak u Podolan. Takie nieświęcenie zwyczaju wdarło się także poniekąd, w mały kącik Podola, z Pokuciem sąsiadujący. Temu kącikowi podolanie przebaczyć tego nie mogą i nosi on nazwę „durnyj kut“. Całe szerokie Podole nie tylko wie i mówi o tym „durnym kuti“, ale nawet, ubrało je w przysłowia, śpiewki i złorzeczenia, i tak, gdy podolak użala się bardzo na niepowodzenie, to mówi: „Tak meni dobre, jak psowy w durnym kuti“. To znowu, gdy rozgniewany na najmyta, największe przekleństwo rzuca mu: „Bodaj toboju w durnyj kut kienuło“.

A gdy się dobrze darzy i wesół śpiewa, nie zapomina i wtenczas o tradycyi, mając w tym celu bez liku śpiewanek, jak n. p.:

A ja tobi myłyj otcze,
Pociłuju ruku,
Ne każy my żinki braty,
Ta z durnoho kutu.

Albo znowu:

Czym ja tobi moja maty,
Tiażko prowynyła,
Szczo ty mene matuseńko,
W durnyj kut widbyła.

Kto zna lud podolski, tego wcale dziwić nie będzie, że sprawa bezwzględnego tępienia psów niewinnych, doprowadza dziś, że tak powiem do rozgoryczenia. Tem tłómaczyć trzeba wystąpienie posła Żardeckiego, który celem rorzszerzenia pasu ochronnego dla psów, wniosek swój z okazyi ludu wyprojektował. A także nie mały powód dały mu ku temu, co raz to częstsze spory, o zabicie psa w sądach rozstrzygane. Na udokumentowanie tej kwestyi podam fakt jeden, któremu, przed kilku tygodniami miałem sposobność w sądzie tarnopolskim przysłuchać się.

Pewien właściciel polowania, któremu znać nie stać było krajowej służby do dworu, sprowadził trzech niemców. Powtarzam niemców, którzy słowa po polsku, ani po rusku, ani rozumieli, ani powiedzieć nie umieli. Jak przy rozprawie dowodzono, ci trzej niemcy przez niespełna lat dwa, tak się uwinęli z psami, że dotychczas tylko cztery psy w całej wsi pozostały i to takie, które, ażeby ocalić, z uwięzi dniem i nocą nie spuszczają.

Na ławę sądową wszystkich trzech niemców zaprowadził fakt taki.

W jesieni zeszłego roku niedaleko od lasu, kopaniem kartofli zajętych było sześcioro ludzi. Wyjechali wozem na swoją niwę, ale jakoś i psina wywlókł się za nimi i zabrał miejsce pod wozem. Krajem lasu wypadła właśnie służba owym trzem niemcom. Poczciwe psisko zwietrzyło niebezpieczne dla siebie naleciałości, zaczęło z pod wozu naszczekiwać, ufne, że pod opieką jego pana nic mu złego nikt nie zrobi.

Załechtał niemców psi nos, więc wychodzi jeden z lasu, idzie z przygotowaną do strzału rusznicą. Ludziska znając zamiary niemca, obstąpili wóz kryjąc psa sobą, niemiec przyszedł aż do nich i jak z gestów poznać mogli, żądał odsłonięcia psa, ażeby go mógł zabić i juści nos zabrać; niemiec krzyczał, ludzie odpowiadali reflektująco, lecz ani ludziska niemca, ani niemiec ich nie rozumiał.

Widząc pozostali dwaj niemcy w lesie, że ludziska bronią psa, ruszyli na pomoc koledze. Już trzem niemcom trzeba było raźniej się opierać, a w rezultacie, jeden niemiec strzelił chłopu całym nabojem śrótu poniżej kolana w łydkę, a drugiemu chłopu wpakował cały nabój śrótu w stopę.

Obaj postrzeleni chłopi po kilkumiesięcznem leczeniu się w szpitalu, nie byli jeszcze zupełnie zdrowi.

Niemcy zeznali sami, że czynnie żaden z nich od chłopów nie był poturbowanym, zamierzali się jednak do nich niebezpiecznie ryskalami, a tak chłopów strzałami odparli, do czego ich i to skłoniło, że jeden z chłopów miał zawołać: „byj, zabyj“ Przyznają, że ani po polsku, ani po rusku nie rozumieją, ale te dwa wyrazy „byj, zabyj“ rozumieją.

Czas mi leciał po piętach, nie mogłem końca rozprawy wyczekiwać, dowiedziałem się jednak później, że rozprawa odroczoną została, jak zwykle w danym razie na przeciąg miesięcy.

Tyle o psach włościańskich i krzywdzących nadużyciach, grożących wytępieniem kundysiego rodu, który dotychczasową swą egzystencyę zawdzięcza klasie włościańskiej. Ale w obec tego gorączkowego tępienia psów, czy tylko ród kundysi i jego patronowie krzywdy doznają? Dla naszej klasy ludzi inteligentnych, pies już od dawna stał się zbytecznym. Utrzymuje się jeszcze co prawda nieliczny zastęp wyżłów, ale w obec twierdzeń, z któremi dziś nie rzadko spotkać się można, że przy polowaniu na błotach, a nawet w polu na ptactwo,

dwóch chłopaków z linewką, oddaje lepszą usługę od wyżła, przypuszczać można, że w krótkiej przyszłości młodsza generacya, o polowaniu z wyżłem, jak dziś o sokolnictwie, ba nawet z gończymi i ogarami, z tradycyi wspominać będzie. Zanim jednak to nastąpi, jak trudno przeboleć, zwłaszcza tym, którzy do polowania z „linewką“ nie inklinują, stratę wyżła, który padł ofiarą uprawnionego goniciela za „strzałowem“.

Moich krzywd cytować nie chcę, powiem tylko, że nigdy nie miałem psa, któryby samowolnie na polowanie wychodził, a nawet po strzale choćby krótką metę za zającem pogonił. Przyznam, że lubię psa, nie potrafiłbym nawet być bez niego. Przyznam i powtórzę, co od wielu słyszałem, że zbyt dużo od psa wymagam, ale krzywdy mu nie zrobię i miewam zwykle psy dobre.

Zeszłej jesieni wracałem z polowania. Przejeżdżając sąsiednią wioskę na wsi, spotkałem „psie wesele“, a choć wyżeł mój był na wózku, nie uszło ono i jego baczności i wielką ochotę okazał przyłączyć się do współudziału weselnego. Karność przyzwyciężyła naturę i został na wózku. Ale czy na długo. Drugiego dnia rano psa nie ma, domyślałem się, gdzie go szukać. Posłałem posłańca dając mu kwartę wódki, którą miał ofiarować właścicielowi suki, za to, ażeby psa mego zamknął w jakim budynku i pozwolił mu tam pozostać, aż wieczorem po niego przyszlę. Niestety posłaniec przyszedł za późno, wyprzedził go taki, jak Wasyl nazywa, „hołodryga“, który prędzej od psa wesele wietrzy, a przypuszczam, że obawiając się, że za pieska chłopskiego, mogło go spotkać „łamanie“, szukał psa dalszego, wybiera mego wyżła i pali do niego, pakując mu cały ładunek grubego śrótu w pierś, szyję i trąbę. Padł strzał i padł mój biedak wyżeł, wybiegli ludziska i nie pozwolili „hołodrydze“ obciąć psu nosa, zabrali psa na dziedziniec. Posłaniec zastał psa dyszącego i w tym stanie przyniósł go na rękach do domu. Dziwnie odporne życie! po długiem leczeniu pies wyzdrowiał. Nadużywam cierpliwości szanownej redakcyi, bardzo, ale proszę pozwolić, że jeszcze jedną najświeższą, niezardzewiałą sylwetką podzielę się.

Pewien tu z okolicy ksiądz, zamiłowany myśliwy, ale tylko z wyżłem, miał bardzo pięknego czystej krwi settera, znakomicie ułożonego, słowem bardzo dobrego psa.

Ksiądz proboszcz wybrał się do miasteczka, lecz dopiero w drodze zauważył, że poczciwe psisko chcąc mu towarzyszyć, biegło za wozem, zbeształ tedy ksiądz poczciwca i kazał wrócić do domu.

Wracając drogą obok lasu prowadzącą, spotkał „uprawnionego“, a ten oczywista, bez namysłu strzelił i zabił psa!

Ksiądz wrócił do domu, psa nie ma. Na drugi dzień posyła szukać psa, dając posłańcowi wskazówkę, gdzie ma się udać. Posłaniec szukając wstąpił do „uprawnionego“ i zastaje skórę z psa wyciągniętą do słońca, ażeby rychło wyschła. Dziwną rzecz, ale ów „uprawniony służbista“, wracał przez pnie, debry i złomy i ani rusznicy nie połamał, ani conajmniej nogi nie wytknął. Znać Dyanę ściskał Morfeusz, a św. Huberta nie było w domu, tyle na tłumaczenie tej bezkarności.

Są to obrazki wyjęte, tylko na próbkę, z obszernej teki. Czy odcieniami ich kolorów, byłoby na czasie zająć się kompetentnym, podaję niniejszem pod opinię.

Sądzę, że przychylając się do wniosku posła Żardeckiego, rozszerzeniem o 200 metrów pasu ochrony dla piesków włościańskich, oszczędziłoby się nie jednego, niewinnie dotychczas zabijanego pieska, a tem samem zapobiegłoby się, wielu przykrym zajściom, którą stosunek ludzi „do surduta“ tak niekorzystnie nastraja.

Zaś co do wyżłów, poszedłbym o wiele dalej, niż poseł Żardecki, bo zdaniem mojem zabijanie cudzego wyżła powinno być ustawą wzbronione, natomiast właściciel niesfornego wyżła, który samowładnie polując wyrządza szkodę w zwierzynie, powinien być przed władzę polityczną do odpowiedzialności pociągniętym, jak też wynagrodzić szkodę, jeżeli takową pies wyrządzi. W obec tego, że wyżłów u nas jest bardzo mało, w wyszukaniu właściciela, niesfornego wyżła, nie nasuwa się żadna trudność, gdyż każdy chłop w sąsiedztwie, a tembardziej dziedzic polowania, zna wyżła i do kogo ten należy. Zbłąkane wyżły dadzą się każdemu łatwo ująć, przeto powinny być przytrzymane.

Na tych podstawach zebranych z doświadczenia, broniłem piesków na zebraniu myśliwych w Borszczowie, przychylając się do wniosku szanownego posła Żardeckiego, jak też nie waham się poddać sprawę pod ocenę. *)

Ago.



Premie za szkodniki.

Po wprowadzeniu nowej łowieckiej ustawy w Norwegii powstało osobliwe zjawisko, które przedstawia klasyczny przykład dla wypadków tego samego rodzaju, obwieszczając zarazem nowe zwycięstwo praktyki nad teoryą.

Do roku 1896 było w Norwegii wolne prawo polowania. Rozumie się, iż przy wykonywaniu tego prawa zdarzały się tak mnogie nadużycia, że ciało prawodawcze uczuło się zmuszonem do zastosowania prawnych środków, ograniczających nadużycia. Jak to zwykle w takich wypadkach bywa, napotkały nowości te, powstałe bez historycznego przejścia i bez pośrednictwa najgwałtowniejszy opór. Stwarzać nowe ograniczenia, bez doświadczenia, w braku przykładów, do których mają się one stosować, to trudne zadanie, gdyż przez ograniczenia te musi być nadwerężonych mnóstwo interesów, które nabyły prawo obywatelstwa z dawien dawna. Z drugiej strony wydawano prawne ograniczenia, które nietylko były bezpożyteczne, lecz nawet były wprost sprzeczne z zamierzonym celem. Przedewszystkiem dla uchowania pozostałej jeszcze pożytecznej zwierzyny

*) Za artykuł ten, napisany przez długoletniego członka Towarzystwa, nie bierze Redakcya odpowiedzialności.

postanowiono, że państwo wyznaczy premie za łowienie i zabicie szkodników. Jako dowód sprzątnięcia szkodnika miała służyć odznaka, pewnemu zwierzęciu właściwa a przez ustawę ściśle dlań wyznaczona; ktoby taką odznakę przedłożył — miał otrzymać właściwą premię. Przy postanowieniu tem nie można się opędzić myśli, że gdy komukolwiek służy prawo zgładzenia szkodnika — gdzie tylko go napotka — muszą także zajść przy tem liczne nadużycia. Początkowo obejmowała lista proskrypcyjna: niedźwiedzie, wilki, rysie, lisy, rosomaki i orły. Później dostąpiła tego nieco wątpliwego zaszczytu cała rodzina kun i sokołów.

Po upływie lat pięciu okazało się to ustawowe rozpisanie premii — w skutkach nadzwyczaj opłakane.

Przedkładane właściwe wykazy wykazują jasno, że mimo przedsięwzięte środki, drapieżce w kraju wzrastają liczebnie i że wzrostu tego nie należy przypisywać mnożeniu się szkodników — na które zostały wyznaczone premie, lecz raczej, że szkody zrządzane przez drapieżne zwierzęta corocznie zyskują na objętości i doniosłości.

Na wykazach tych oparł się drugi wykaz — premii udzielonych za złowienie i ubicie drapieżników a z przedłożonych cyfer widzimy, że w Norwegii mimo stosunkowo wysokich premii, zaledwie dziesiątą część ubitej szkodliwej zwierzyny zgłaszają celem uzyskania premii. Wszak nie jest prawdopodobnem, by w kraju, w którym drapieżnik tak liczne i niewyśledzone znachodzi kryjówki, w przeciągu roku ubito tylko 70 niedźwiedzi, 50 wilków, 70 rysiów, 50 rosomaków, 10.000 lisów i 900 orłów, a to właśnie są przeciętne cyfry za rok, w wykazach podane. Premia państwowa za każdą sztukę — należącą do czterech, najpierw wspomnianych gatunków szkodników, wynosi 25 koron; za pozostałe szkodniki wynosi premia 2 korony od sztuki. Wyznaczone premie zatem kosztują skarb państwa około 38.000 koron rocznie tj. kwota, która w obec zamierzonego celu nie może być brana na uwagę, zwłaszcza jeżeli zważymy, że prawie wszyscy cudzoziemcy zwiedzają Norwegię — nie dla innych celów, lecz tylko dla łowów.

Nie zastanawiając się nad szkodą — którą drapieżniki wyrządzają wśród zwierzyny pożytecznej — weźmy pod rozwagę szkody materyalne, które szkodniki, podpadające premii, wyrządzają wśród zwierząt domowych, zanim ubite lub złowione zostały. Zgodnie ze sprawozdaniami zaczniemy od niedźwiedzia, którego nawiasem mówiąc, norwegskie stowarzyszenia ochrony polowania nie wliczają do szkodników. W Norwegii ma niedźwiedź tylko w ostateczności wyrządzać szkody, gdyż jest on tam wyłącznie jaroszem, a tylko w podeszłych latach rzuca się na cielęta i owce. Nierównie szkodliwszym od „mysia“, który nawet w kwiecie sił i lat czuje się zadowolonym, gdy jako tako głód zaspokoi — przedstawia się wilk, ryś i rosomak, gdyż tej szlachetnej trójcy chyba żadne stowarzyszenie ochrony polowania na świecie nie przypisze skłonności wegetaryańskich. Są one wyłącznie zwolennikami zwierzęcego wiktu, a gospodarują przytem jak bezlitośni rzeźnicy.

Gdy szkodę wyrządzaną rocznie przez niedźwiedzia szacują w Norwegii na 40 koron — przedstawia się ocenienie szkody wyrządzanej przez wspomnianą trójkę szkodników daleko poważniej. Któż zdoła obliczyć szkody wyrządzone przez wilka, który z gromadą towarzyszy wpadnie dziś do obory, jutro między trzodę renów, a pojutrze do owczarni, a napady te wykonuje często na przestrzeni kilkomilowej?

We wspomnionem sprawozdaniu poczytano każdemu członkowi tej krwiożerczej gromady zgładzenie pewnej oznaczonej ilości ofiar i tak przypada na każdego wilka 10 owiec wartości po 10 koron i 15 renów po 20 koron. Oszacowanie to, bezwątpienia za niskie, wykazywałoby zatem, że wilk norweski wyrządza rocznie szkodę wysokości 400 koron.

Daleko szkodliwszym jest szlachetny właściciel szuby, którego nazwa sama „Vielfrass“ głosi o jego dziełach.

Jestto rosomak. Najzaciętszy wróg renów, jest on zarazem smakoszem, który potrafi najpiękniejszego pstrąga wydostać z wody, a przy swej rozwiniętej zdolności wspinania, dosięgnie nocą każdego głuszca i cietrzewia. Tak on, jak ryś, wybierają sobie ofiary po największej części z grona zwierzyny, żyjącej na wolności, w skutek czego przypisują każdemu z nich zgładzenie tylko nieznacznej ilości zwierząt domowych — których wartość rocznie wynosi na głowę 200 koron. Oba napadają tylko wtedy trzody owiec, gdy wskutek podeszłego wieku obznajomili się z nieporadnością ich, która te najgłupsze ze zwierząt domowych wydaje na łup drapieżcy. Gdy nabywszy w tym kierunku, po dłuższym, obfitym w rozboje żywocie — dostatecznego doświadczenia — nawiedzą trzodę owiec — wyrządzają w niej straszne spustoszenia. Na szczęście należą takie napady obu gatunków tych zwierząt, do rzadkości.

Wyznaczona na lisa premia wysokości 2 koron jest ze stanowiska ekonomicznego zbyt niska, gdyż wyrządza on szkody znacznie większej wartości. Suma jego zbrodni nie byłaby okupiona, gdyby na głowę jego wyznaczono 25 koron premii.

Że myszom i lemingom nie wyrządza on szkody, tego dowodzi masowe występowanie tych zwierząt, podczas gdy jego pobratymcy ubywają znacznie.

Również królewska rodzina orłów dybie przeważnie na ptactwo i szlachetne gatunki ryb, tak że przybliżone obliczenie wyrządzonej przez orła rocznie szkody — wynosi 50 koron. W czasie sześciomiesięcznego pobytu jastrzębi i sokołów w Norwegii, przypada każdemu z nich jako łup 500 sztuk pożytecznej zwierzyny. Przy obliczeniu tem wzięto za podstawę przypuszczenie, że każdemu z tych ptaków uda się połów tylko co drugi dzień, a pomimo to wedle tego obliczenia wyrządzona szkoda wynosi 40 koron.

Równej czci z ptakiem Jowisza zażywający puhacz — nie pogardza tym wiktem, szczególną atoli ma predylekcyę do szaraka. Jest powszechnie znanem, że puhacz w czasie lęgu, niesie co dzień, a raczej co noc, zająca do gniazda. Jakże zdołamy oznaczyć nie dającą się ocenić, przez tego ptaka wyrządzaną szkodę?

Sprawozdanie zaznacza w końcowym ustępie, że wedle obliczenia stowarzyszenia szkody wyrządzone przez szkodniki w pożytecznej zwierzynie wynoszą znacznie więcej niż 1,000.000 koron, a gdy kwota wypłacona tytułem premii wynosi 38.000 koron przeto jest ona zaledwie 4% odsetkami od wartości szkody. Z tego wypływa, że tylko nieliczne jednostki zajmują się tępieniem szkodników, co łatwo zrozumieć, jeżeli zwa-

żymy, że tępienie to wymaga wiele czasu i uwagi, a nadto nie daje gwarancyi odpowiedniego wynagrodzenia. Z tego samego powodu tylko część ubitej zwierzyny szkodliwej bywa zgłaszana do premiowania; zachód i formalności połączone z premiowaniem odstraszają w obec zbyt niskich premii od zgłaszania się po nie.

Wedle sprawozdania zrządzają szkodniki wśród domowych zwierząt szkodę roczną wartości 3,000.000 koron, a równocześnie zaznacza sprawozdanie wyraźnie, że obliczenie to stoi daleko poza rzeczywistością.

Jeżeli zatem zamierza nowa ustawa łowiecka podnieść rzeczywiście stan pożytecznej zwierzyny w dostatecznej mierze i w krótkim stosunkowo czasie, to przedewszystkiem musi nastąpić znaczne podwyższenie ustanowionych przez państwo premii, za tępienie szkodników, a tępienie to musi być wyłącznie pozostawionem właścicielom polowania i zawodowym myśliwym. Oprócz tego winny być premie rozszerzone także na inne szkodniki, przyczem w szczególności należy uwzględnić wrony i sroki. Jeżeli podniesienie premii za te premie szkodników ma mieć rzeczywiste znaczenie, to może ono uzyskać je tylko w łączności z ostatnim punktem sprawozdania, o utrzymaniu zwierzyny pożytecznej, gdyż nie trudno zrozumieć, jak doniosłe powstałyby stąd szkody, gdyby ktokolwiek na każdem miejscu mógł przedsiębrać łowy. Premie za szkodliwą w rzeczy samej zwierzyny — nie mogą być dość wysokie, jeżeli mają spełnić zamierzony cel, lecz z drugiej strony mogą być przyznawane tylko zawodowemu personalowi — nigdy zaś niopowołanym.

(NÖ. Mittheilungen).



Warszawski „Łowiec polski“ w sprawie broni myśliwskiej.

Warszawa miewa co pewien czas na porządku dziennym, jakiś przedmiot ogólnie interesujący, przedmiot budzący mniej lub więcej uzasadniony entuzyazm, wzniecający mniej lub więcej słuszny zachwyt lub oburzenie, rozbrzmiewający szerokiem echem w całej prasie miejscowej.

Do takich kwestyi, należy kwestya bojkotu wyrobów niemieckich, która znalazła sympatyczny oddźwięk w całem naszem społeczeństwie. Pod adresem przeto naszego Towarzystwa prawidłowego myśliwstwa piszemy tych słów parę, zwracając jego uwagę, aby wobec dążności do rozpowszechnienia bojkotu niemieckich towarów, nie zamykało nań oczu i zrobiło ze swej strony to, co od niego zależy.

Mogłoby ono np. pp. członkom swoim zwrócić uwagę na niestosowność kupowania w obecnym czasie niemieckiej broni, mogłoby wpłynąć może i na pp. rusznikarzy warszawskich, aby wystawiali w swoich pięknie okratowanych, wspaniałych oknach mniej broni niemieckiej, chociaż czarne lufy Kruppa pięknie i efektownie odbijają od swoich bronzowanych podstawek. Być może, że ani p. Krupp ani p. Sauer nie są żadnymi krewnymi, przyjaciółmi lub znajomymi hr. Bülowa, są jednak jego ziomkami — Niemcami, a to powinno wystarczyć.

Jeśli już nie dla jakichś innych uczuć, to przynajmniej dla solidarności, dla przykładu nie powinniśmy używać ich wyrobów. Nie przeczę, że broń ich wyrobu jest tania, modna i stosunkowo do swej ceny bardzo dobra, ale pod tym względem i pp. myśliwi, i pp. rusznikarze znajdują się w wyjątkowo szczęśliwych warunkach i dlatego od nich powinno się, jeśli nie więcej, to przynajmniej nie mniej wymagać jak od innych.

Bądź co bądź, cokolwiekbyśmy mówili o polowaniu i jego dodatnich stronach, musimy przyznać, że jest ono zbytkiem, dostępnym jedynie dla ludzi przynajmniej względnie zamożnych, dla których wydanie kilku rubli mniej, czy więcej nie stanowi poważnej różnicy.

Panowie rusznikarze mają tak wielki wybór fabryk czeskich, belgijskich, francuskich, angielskich i innych, że bez sprowadzania niemieckich broni mogą zaspokoić gusta i wymagania najbardziej wybrednych myśliwych. Z drugiej strony, do pp. rusznikarzy w ich własnym interesie należałoby starać się cokolwiek bardziej rozwinąć tę gałąź przemysłu i u nas. Nie marzymy na razie o żadnych wielkich fabrykach broni, moglibyśmy jednak tymczasem dążyć do otwarcia przynajmniej większych jej warsztatów. Wszak na wystawie łowieckiej w 1899 roku, widzieliśmy wcale piękne okazy broni, wyrobionej w naszych warsztatach, o których to broniach sprawozdawca z Wystawy wyraził się w „Łowcu Polskim“ w tym sensie, że sprawiają one wrażenie niegorsze od Purdey'owskich. Nie możemy przypuścić również, aby pp. myśliwi nie kupowali tych broni tylko dla tego, że są one wyrobem krajowym, tembardziej, że tych ostatnich musimy zaliczyć do jednej z najbardziej stosunkowo inteligentnych kategoryj nabywców, rozumiejących potrzeby krajowe, więc producenci z nimi mogliby łatwo wejść w porozumienie. W danym wypadku pp. rusznikarzom nie grozi nawet ta ewentualność, że staraniom ich staną na przeszkodzie Nalewki, na co uskarżają się inni przemysłowcy, gdyż broń myśliwska nie jest towarem popłatnym na glebie nalewkowskiej.

Miejmy więc nadzieję, że na rok przyszły w żadnym cenniku warszawskich rusznikarzy nie ujrzymy działów niemieckiej broni.

Redakcya „Łowca polskiego“ dodaje od siebie następującą uwagę:

Dając głos w sprawie powyżej wyłuszczonej młodemu myśliwemu, możemy go zapewnić, a wraz z nim i ogół naszych czytelników, że wśród naszych składników broni panuje ożywiony ruch w kierunku wyrugowania z tutejszego rynku myśliwskiego broni wyrobu niemieckiego, co zaś do broni taniej, potrzebnej dla gajowych i strzelców, nawiązano stosunki z fabrykami broni w Szwecyi, która wyrabia broń tanią i bardzo obiecująco przedstawiającą się na oko; idzie tylko o wypróbowanie jej w praktyce, stwierdzenie jej trwałości w codziennem użyciu, przed zarekomendowaniem jej szerokiemu ogółowi w zamian za broń niemiecką.



DROBNE OGŁOSZENIA.

(po 1½ ct. od wyrazu).

„LEGAWIEC“ pięknie znaczony, inteligentny, ojciec pointer, matka niemiecka „Stichelhaar“ w drugiem polu, nie tresowany, jest zaraz w cenie 60 koron do odstąpienia. — Milatyn Stary per Milatyn Nowy, W. Suchorzewski.

LEŚNICZY z KSIĘSTWA. Żonaty w średnim wieku, znający się bardzo dokładnie we wszystkich gałęziach do swego zawodu, o czem dowiedzieć się można z mych świadectw, lub też od mych dawniejszych panów chlebodawców, pragnę przyjąć posadę leśniczego, lub nadleśniczego od 1. października w Galicyi. Zgłoszenia uprasza się nadesłać W. K. Nr. 300 postlagernd Jurkowo poczta, Kreis Kosten p. Posen. W. Koralewski.

PARA CHARTÓW KRYMSKICH rasowych 9-cio miesięcznych (pies czarny, suka biała) jest do sprzedania. Bliższe wiadomości: „Książę Stanisław Jabłonowski (junior), Bursztyn“.

Poszukuję jednego jamnika lub parki, z rasowych rodziców, jeżeli możliwe czarnych podżarych, dobrze odessanych. Zgłoszenia w Administracyi „Łowca“.

Strzelba lankastrowa, kal. 16, bardzo dobrze zachowana, roboty Peterlonga, do sprzedania za 60 zł. (kosztowała 120 zł.). Oglądać można w Administracyi w godzinach urzędowych.

DO SPRZEDANIA 3 parki jamników, parka srebrno popielatych, żółto podżarych 50 koron. Parka żółtych, parka kasztanowatych, żółto podżarych po 40 koron. — Zgłoszenia Gottwald, w Skale nad Zbruczem.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.